

Krzysztof Ruchniewicz

Co nam zostało z tym lat. W związku z jubileuszem „dziesiątki” wspomnień kilka*

Pisanie wspomnień jubileuszowych nie jest łatwym zadaniem. Istnieje zawsze obawa, że to co chce się wspominać, wypadnie płasko, trywialnie, wręcz zniechęci do dalszego czytania. Może także pojawić się podejrzenie, że autor takich wspomnień zbyt idealizuje rzecz całą, jednym słowem pisze „ku czci”. Charakterystyczny dla tej formy wypowiedzi jest bowiem podniosły, odświętny ton, który ma podkreślić nadzwyczajność wydarzeń. Pomimo tych zastrzeżeń niech mi wolno będzie oddać się wspomnieniom, które – jak mam nadzieję – nieobce będą także i innym koleżankom i kolegom z mojego rocznika.

Naukę w liceum zacząłem w niełatwym okresie. Słysząc jeszcze było wybuchy gazów łzawiących, którymi rozpędzano demonstrujących opozycjonistów. Do szkoły dojeżdżałem tramwajem, który szybko wypełniał się gazem i powodował łzawienie oczu. Budynek szkoły nie wywoływał u mnie większego zaciekawienia. Wiedziałem, że jest to gmach klasztorny z czerwonej cegły przerobiony pośpiesznie na potrzeby szkoły (nie wiedziałem, dlaczego odebrano go franciszkanom). Sale lekcyjne były małe, a korytarze wąskie. Nasza klasa była szczególna. Liczyła – tu mogę się pomylić – 25 uczniów, z czego 21 to były dziewczęta. Tak, my panowie byliśmy w marginalnej mniejszości, niemalże ostatni Mohikanie lub muszkietierowie. Jednym z powodów tej feminizacji był profil klasy. Zacząłem uczęszczać do klasy ogólnej z poszerzonym językiem niemieckim. W tym czasie we Wrocławiu była to druga szkoła tego typu. W nauce trudno było rywalizować z dziewczynami, zawsze pilnymi i przygotowanymi, a rywalizacja z kolegami nie miała sensu (jak to wtedy widzieliśmy). Natomiast z pewną zazdrością obserwowałem jak jeden z nich oczarowywał płęć piękną. Pytanie, jak on to robił, do dziś pozostaje dla mnie tajemnicą. Wśród dziewcząt były i te, które „zakuwały”, i te, które tego robić nie musiały (lub nie

* Tekst ukazał się w publikacji jubileuszowej z okazji 50-lecia X LO we Wrocławiu: Co nam zostało z tych lat. W związku z jubileuszem „dziesiątki” wspomnień kilka, w: 50 lat Liceum Ogólnokształcącego nr X im. Stefanii Sempołowskiej we Wrocławiu. Historia. Osiągnięcia. Ludzie, Wrocław 2004, S. 53–55.

chciały). Wszystkie na swój sposób były oryginalne. Oczywiście, żadna z nich nie spojrzała na nas przychylnym okiem (no może poza jednym wyjątkiem, co skończyło się po latach małżeństwem). Tylko raz poczuliśmy, że z racji płci jesteśmy ważną częścią klasy. Było to związane z balem maturalnym i koniecznością – w razie braku partnera szkolnego – zdania się na przypadkowego studenta szkoły oficerskiej (bo tam odbywał się właśnie ten bal). Ale ta satysfakcja nie trwała długo, wkrótce powróciła szarzyzna szkolna i jedynie wspomnienie o tym wyjątkowym dniu.

W czasie moich lat szkolnych spotkałem kilku ciekawych nauczycieli, których dzisiaj, po latach mógłbym nazwać – mam nadzieję, że mi wybaczą – dużymi oryginałami. Byli wśród nich i gadający do siebie historycy, i zapatrzeni w Moskwę rusycyści. To zapatrzenie nie miało nic wspólnego z tanią propagandą, a jedynie było miłym wspomnieniem z jednego z pobytów pod Kremlm, co my niejednokrotnie – zwłaszcza w chwilach krytycznych – wykorzystywaliśmy bez zażenowania. Okrzyk „Do Broni”, bo tak na imię miała wspomniana rusycystka, towarzyszył naszym psotom. Geograf stale marzył o ponownej wyprawie na Spitsbergen, a matematyk próbował z nas wykrzesać choć odrobinę logicznego myślenia. Bez wielu sukcesów, niestety. Stąd jego rozpaczliwe określenia pod naszym adresem (dziś, w dobie powszechnej tzw. poprawności, nie do pomyślenia): „Ty snopie nie wymłócony” czy „Ty grzdylu” stały się z biegiem czasu częścią słownictwa dziatwy szkolnej. Za te „snopy” i „grzdyle” potrafiliśmy się czasami zemścić, choć ogólnie rzecz biorąc miękkie serce matematyka (o czym przekonaliśmy się w klasie maturalnej) nie pozwalało nam na utwierdzanie się w złości ku niemu. Szczególne miejsce w moich wspomnieniach szkolnych zajmują dwie nauczycielki, jedna polonistka, druga germanistka. Zajęcia z pierwszą z nich były ogromnie ciekawe. Każda lekcja skłaniała do nowych przemyśleń. Krótka, potrafiła ona nas zainteresować swoim przedmiotem i zaszczepić potrzebę dalszego kształcenia się. Niestety, miałem tylko okazję chodzić na jej zajęcia fakultatywne. Na właściwych zajęciach z języka polskiego niewiele się działo. Czytaliśmy nudne lektury, graliśmy w odwieczną grę „co poeta miał na myśli” oraz wkuwaliśmy formułki gramatyczne. Czasami miałem podejrzenie, że nasza polonistka skończyła swoją edukację a wraz z nią namiętność do literatury, na latach 50. Na tym tle zajęcia uzupełniające były nie tylko miłym zaskoczeniem, stanowiły swoisty oddech od wspomnianej monotonii. W końcu

czytanie prawie że pod ławką utworów poetów pomijanych w oficjalnym wykładzie literatury polskiej, nierzadko przy tym z wydań drugoobiegowych, dawało tak młodym ludziom jak my wtedy emocje, uniesienia i radości rzadko odczuwane na zwykłych lekcjach. Z językiem niemieckim miałem trochę mniej szczęścia (co zapewne zabrzmiało dziwnie, zważywszy, że obecnie jest to mój drugi, niemalże równorzędny do polskiego język, używany w pracy i kręgu znajomych). Przed przyjściem do liceum posiadałem już jako takie podstawy tego języka, które – ku memu zaskoczeniu – szybko okazały się niewystarczające. W obroty wzięła mnie wtedy młoda nauczycielka, nasza wychowawczyni. Efektem była robiąca smutne wrażenie na rodzicach parada „pałek”. Musiałem się sporo napocić, by wyjść na maturze na prostą (jako uczniowie tej specjalnej klasy mieliśmy możliwość wyboru na maturze: język niemiecki albo matematyka). W pamięci zachowałem te liczne sprawdziany ze słówek, zarządzane co tydzień. To aż dziwi, ile można było się wtedy nauczyć. Przecież tylko nieliczni z nas mieli okazję poznać ten język w czasie pobytu z rodzicami zagranicą. Dla reszty niemiecki uchodził za współczesny odpowiednik łaciny, zatem mowę jakby martwą. Z motywacją było więc krucho, bo o swobodnych wyjazdach nawet nie marzyliśmy. A mimo to posiadliśmy podstawy tego języka i pewnie wszystkim z nas wyszło to na dobre.

Po zdanej maturze wyruszyłem na studia. Wtedy też kontakt ze szkołą znacznie się rozluźnił. Do tego doszły liczne wyjazdy. Coraz to nowe sprawy, wyzwania, wrażenia, kłopoty i radości, spychały tamte wydarzenia coraz bardziej na bok. Stres szkolny, maturalny z biegiem lat zbladł wobec wielkiej liczby egzaminów, jakie przychodzi zdawać na studiach i potem w tzw. dorosłym życiu. Zawsze jednak pamiętałem, że liceum dało mi podstawy wykształcenia, umiejętności, które potem mogłem rozwijać, choćby ten z początku dla mnie nieszczęśliwy język niemiecki. Z pewnością nie był to czas stracony, obfitował – jak w każdej szkole – we wzloty i upadki. Wydaje mi się, że cechą charakterystyczną była dobra atmosfera, która – mimo takich czy innych wydarzeń – przez cały czas panowała w „dziesiątce”. Jest to wspólna zasługą i nauczycieli i uczniów z mojego pokolenia, gdyż razem tworzyliśmy tę porządną, solidną „budę”.

I na tym koniec, bo stanę się zaraz sentymentalny, a to jest już nieprzyzwoite.